

# TO, CO UKRYTE LAURA LIPPMAN

Jedna z tych powieści, o których wydawcy  
lubią mówić, że „rozsadza ramy gatunku”.  
Tyle że tym razem to prawda.

CHICAGO SUN-TIMES

MARGINESY

W ekranizacji  
zagrały  
**Diane Lane**  
i **Dakota Fanning**



**TO, CO  
UKRYTE**  
LAURA  
LIPPMAN

PRZEŁOŻYŁ MACIEJ NOWAK-KREYER

MARGINESY

*Dla Vicky Bijur i Carrie Feron*

*Every Secret Thing*

COPYRIGHT © 2003 BY Laura Lippman

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

WARSZAWA 2017

*Koniec mowy. Wszystkiego tego wysłuchawszy:  
Boga się bój  
i przykazań Jego przestrzegaj,  
bo cały w tym człowiek!  
Bóg bowiem każdą sprawę wezwie na sąd,  
wszystko, choć ukryte: czy dobre było, czy złe.*

Księga Koheleta 12,13–14

## Prolog

Kiedy kazano im wracać do domu, były boso, a ich ociekające wodą stopy zostawiały mokre ślady, które niemal natychmiast wyparowywały, tak jakby nigdy nie istniały. Jeśli dałoby się jakoś podążyć tymi śladami, czego wielu miało później próbować, zaprowadziłyby one do dziecięcego brodzika, do stołów zastawionych z okazji urodzinowego przyjęcia i błękitnych balonów z mylaru. Potem minęłyby stolik z przekąskami i pobiegły w górę schodów, do parkingu. Każdy następny ślad był mniejszy od poprzedniego – najpierw znikaly palce, potem wąskie połączenie pięty i śródstopia, następnie pięty, później zostawały same pulchne krawędzie stóp – i w końcu nie zostawało nic.

Usiadły na krawężniku, żeby włożyć buty – Ronnie tenisówki, Alice nowiutkie buciki z przejrzystego tworzywa. Alice wydawała wszystkie pieniądze, aby nadążyć za trendami mody aktualnie obowiązującymi w piątej klasie Szkoły Świętego Wilhelma w Yorku. Tamtego lata, siedemnastego lipca siedem lat temu, buciki z przejrzystego tworzywa były właśnie tym, co należało mieć.

Asfalt parkingu był lśniaco czarny, przypominał Alice bulgoczące, wrzące morze z bajki, które paruje, kiedy się go dotknie.

– To wygląda jak pustynia w Oz – stwierdziła, myśląc o książkach, które uratowały się z dzieciństwa jej matki.

– W Oz nie ma pustyni – odparła Ronnie.

– Jest, trochę później, w następnych częściach. Tam jest taka pustynia, która parzy...

– Nie w książce – powiedziała Ronnie. – W filmie.

Alice postanowiła nie spierać się dłużej. Ronnie zwykle się jej sprzeciwiała, kiedy chodziło o sprawy związane z książkami, a także o różne fakty i oczywiście o szkołę. O rzeczy, które Alice uważała za wiedzę. Słowo to widziała napisane jaśniejszymi niebieskimi literami i oglądała je przez cały rok na gazecie ściennej w sali, gdzie uczyła się piąta klasa: „Prawda, że człowiek mądry jest silny, lecz człowiek zdobywający wiedzę powiększa swoje siły”. Pod maksymą przyczepiano co tydzień prace ocenione na piątkę. Alice martwiła się za każdym razem, kiedy efekt jej wysiłków nie pojawiał się na tablicy. Ronnie coś takiego jeszcze nigdy się nie przytrafiło i twierdziła, że ma to gdzieś.

Dzisiaj wpadła w ten swój ponury nastrój, kiedy zdecydowanie nie należało jej drażnić.

– Powinam zadzwonić po wasze matki – powiedziała z wahaniem mama Maddy, nawet gdy kazała im wyjść z brodzika i wyrzucała je z przyjęcia. – Nie powinniście iść same przez Edmondson Avenue.

– Mnie wolno – odparła Ronnie. – Mam ciotkę w Stamford. Chodzę do niej, jak rodzice są w pracy. Mieszka po tej stronie Edmondson. – A potem buntowniczo spojrzała na pozostałe dziewczynki, wciąż jeszcze zdumione i zaszokowane. – Moja ciocia ma cukierki double stuff oreos i rice krispie treats – dodała. – I wszystkie kanały kabłówki, a ja mogę oglądać, co chcę, nawet jeśli to jest dozwolone od więcej niż trzynastu lat!

Alice wiedziała, że ciotka Ronnie rzeczywiście mieszka gdzieś w okolicy. Ale Stamford jakoś jej nie pasowało. Podobnie cukierki oreos i rice krispie. Fullerowie nigdy nie mieli czegoś tak dobrego. Za to było u nich tyle gazowanych napojów, ile tylko dało się wypić, bo pan Fuller jeździł ciężarówką Coca-Coli. Ronnie mówiła prawdę o tym, co ogląda w telewizji. Rodzice nie zwracali uwagi, co ogląda córka. Ani co robi. Ani co mówi.

Pana Fullera obchodził wyłącznie hałas telewizora, bo jedyne, co mówił Ronnie i jej trzem starszym braciom, to: „Wyłącz go, wyłącz go”. A dokładniej: „Wyłącz go, na litość boską”. Zaledwie w zeszłym tygodniu, w deszczowe popołudnie, Ronnie oglądała właśnie jeden z filmów, w których nastolatki giną na coraz ciekawsze sposoby. Ich krzyki odbijały się echem bez końca. Alice schowała głowę pod poduszki sofy i wcale jej nie przeszkadzało, że nieświeżo pachną, a policzek przyciska do okruchów i śmieci. Pierwszy raz niemal się ucieszyła, kiedy pan Fuller wszedł do domu, wróciwszy ze swojej zmiany.

– Jezu, Ronnie – burknął. – Wyłącz to. Słowo daję, z tobą normalnie nie da się wytrzymać.

– Zasłaniasz czujnik od pilota – odburknęła. Ale musiała w końcu uruchomić pilota, bo kilka sekund później krzyki ucichły i Alice wystawiła głowę spod poduszki.

Matka Maddy nie uwierzyła w historyjkę o ciotce. Alice widziała sceptycyzm w wyrazie jej otwartych ust, pociągniętych błyszczkiem, i w jej zmrużonych, zmęczonych oczach. Matka Maddy wydawała się rozdarta między chęcią rzucenia wyzwania kłamstwu Ronnie a chęcią pozbycia się jej samej. A właściwie pozbycia się ich obu, chociaż Alice niczego nie zrobiła, w ogóle niczego oprócz tego, że brat Ronnie podwiózł ją na przyjęcie.

Matka Maddy oblizała wargi raz i drugi, zlizując większość błyszczyka, aż wreszcie oznajmiła:

– Bardzo dobrze.

Później wszystkim mówiła, że Ronnie ją oszukała, że nigdy nie kazałaby dwóm małym dziewczynkom wyjść, gdyby wiedziała, że chcą same ruszyć Edmondson Avenue. Bo przecież najgorsza rzecz, jaką można było sobie wyobrazić w południowo-zachodnim Baltimore o godzinie czternastej siedemnastego lipca siedem lat temu, to samotny spacer Edmondson Avenue.

Pagórek, którym szło się do Edmondson, był długi i wznosił się stopniowo. Alice nie wiedziała, czy w tej okolicy, nazywanej Ten Hills, rzeczywiście wznosi się dziesięć wzgórz, lecz stromizn wystarczyło, aby zmęczyć krótkie nogi. Dziewczynki nie miały ubrań, więc zawiązały ręczniki, wysoko, tam, gdzie powinny podtrzymywać je piersi. Ale one nie miały też piersi, lecz małe wypukłości, które dopiero w tym roku zaczęły chować w staniki. Ręczniki zsuwały się i plątały wokół kostek. Ronnie, owinięta w zwykły ręcznik kąpielowy, niezbyt już biały, klęła za każdym razem, gdy spadał. Kiedy czwarty raz się o niego potknęła, zawiesiła go sobie na szyi, nie dbając o to, co jej widać. Alice nigdy nie odważyłaby się tak iść ulicą, a przecież miała na sobie jednoczęściowy kostium. Ronnie włożyła czerwono-białe bikini, chociaż była tak chuda, że luźny stanik wisiał na niej jak worek. Jedyną krągłością Ronnie był odrobinę wystający brzuch.

– Jak u dziecka z Biafry – stwierdziła Helen, matka Alice. – Ojej, przesadziłam.

Alice nie miała pojęcia, o czym matka mówi i czy to jest dobre, czy złe – ani nawet o co chodzi z tym „przesadzaniem”. Po prostu wiedziała, że matka nigdy by nie powiedziała, że jej córka wygląda jak dziecko z Biafry.

Granatowy jednoczęściowy kostium Alice miał na brzuchu małe wycięcie w kształcie stokrotki. Ronnie powiedziała, że to jakiś dziwny pomysł, i powtarzała to za każdym razem, gdy tamtego lata widziała Alice w kostiumie, czyli dokładnie trzykrotnie. Podczas całodziennego wycieczki do Sandy Point, w trakcie innego przyjęcia na basenie, no i dzisiaj.

– Kto będzie chciał oglądać brązową stokrotkę na twoim grubym, białym brzuchu? – powiedziała, kiedy mama Alice, jadąc rano do pracy, zostawiła córkę u Fullerów.

– To stylowe – oznajmiła mama. – To jest stylowe.

Ronnie nie wiedziała, co to znaczy, dlatego musiała siedzieć cicho. Lubiła matkę Alice i przy niej starała się zachowywać jak najlepiej. Alice także nie wiedziała, co oznacza słowo „stylowe”, ale czuła, że to coś dobrego. Jej matka знаła mnóstwo wyrazów, których ona nie rozumiała. Stylowe. Klasyczne. Retro, „nuwo”. Kiedy Alice nie chciała czegoś włożyć, bo inne dziewczynki mogły jej później dokuczać, a wszystkie metody perswazji zawodziły, Helen Manning spotykała w lustrze jej odbite spojrzenie i mówiła:

– No, ale ja sądzę, że to jest wyszukane.

Taki komentarz kończył spór i stanowił sposób łagodnego oznajmienia: „Jeszcze-jedno-słowo-a-stracę-cierpliwość”. Wy-szu-ka-ne. Gdy Alice próbowała użyć tego wyrazu jeden jedyny raz, Ronnie spytała tylko: „A czego szukałaś?”.

Ale to właśnie Helen Manning nalegała, żeby Alice bawiła się z Ronnie. Ronnie była koleżanką tylko na lato, dziewczynką z sąsiedztwa, jedyną poza Alice, która nie pojechała na obóz i nie miała karnetu na basen. W trakcie roku szkolnego Alice miała lepsze koleżanki, bardziej podobne do niej. Czytały książki, dbały o włosy i starały się nosić odpowiednie ubrania. Kiedy nadchodziła jesień, ogromnie cieszyła się z początku szkoły, bo to oznaczało ponowne spotkanie z prawdziwymi przyjaciółkami.

Lecz tej jesieni miała iść do nowego gimnazjum. Większość dzieci z jej klasy wybierało się do prywatnych szkół. „Prawdziwych prywatnych szkół”, jak podkreśliła Wendy, nie złośliwie, lecz nieco beztrąsko, zapominając, że przecież Alice tam nie trafi. A ona myślała, że Święty Wilhelm z Yorku jest prawdziwą prywatną szkołą. Prawdziwą na tyle, że matka Alice nie mogła sobie na nią pozwolić. Od następnego roku dziewczynka miała chodzić do gimnazjum West Baltimore. Ronnie też. Matka mówiła, że wcale nie chodzi o pieniądze, że Alice powinna „spotykać



ludzi każdego rodzaju”, nastawić się na „nowe doświadczenia”. Poza tym, jeśli dłużej uczyłaby się w szkole katolickiej, mogłaby, nie daj Boże, zostać katoliczką.

Jednak Alice wiedziała, że chodziło właśnie o pieniądze. Koniec końców, zawsze chodzi o pieniądze – w jej domu, u Fullerów, nawet u bogatych dzieci. Rodzice po prostu nazywają to innymi słowami, czasem wymyślnymi, czasem zwykłymi. Mówią o tym na różne sposoby. Albo w ogóle nie mówią.

U Fullerów o pieniądzach krzyczano, nawet je sobie kradziono. Tego lata Ronnie przyłapała najmłodszego z braci, jak dobierał się do jej skarbonki. Odepchnął siostrę, wziął młotek i roztrzaskał skarbonkę, Piękną z *Pięknej i Bestii*, taką, która miała nawet niewielką zatyczkę między stopami. Wcale nie musiał jej rozwalać, żeby dostać się do środka. Ale nawet gdy wyspały się już pieniądze – głównie jedno- i pięciocentówki, ale też kilka ćwierćdolarówek, tych monet z wybitą podobizną kobiety – Matthew wciąż uderzał w Piękną, aż wreszcie zamieniła się w proszek.

Alice i jej matka nie walczyły ze sobą o pieniądze i w ogóle o nich nie rozmawiały, nawet gdy z Connecticut przyjeżdżali dziadkowie i mówili rzeczy w rodzaju: „To jest takie życie, jakie sama sobie zgotowałaś”. Raz dziadek wręczył Alice pięciodolarowy banknot, gdy powiedziała mu, że nie ma takiej frotki, jaką mają inne dziewczynki. Matka dała jej wtedy klapsa, a potem obie płakały i uzgodniły, że coś podobnego już nigdy się nie powtórzy. Matka już jej nie uderzy, a Alice nie będzie zmyślać, żeby wyciągnąć pieniądze od dziadka.

Ale to się zdarzyło w trzeciej klasie, kiedy neonowe frotki były na topie, a Alice nie nauczyła się jeszcze być grzeczna. Teraz liczyły się buciki z przejrzystego tworzywa, odkładała więc kieszonkowe i kupiła je w Target. Dzisiaj pokazała buciki swojej najlepszej koleżance z klasy, Wendy. Musiało to wyrzucić na niej

wrażenie, bo zrobiła Alice miejsce w ławce, którą dzieliła z dwiema innymi dziewczynkami z ich klasy.

Urodzinowe przyjęcie Maddy urządzono obok brodzika nie dlatego, że zaproszono na nie maluchy, ale dlatego, że leżał za ogrodzeniem, które było potrzebne do przywiązania balonów. Alice przyłapała się na tym, że liczy prezenty. Zawsze coś liczyła. Stopnie schodów, pasy na jezdni, ptaki odlatujące jesienią na południe. Na stole leżało czternaście upominków, ale przyszło tylko trzynaście dziewczynek. Czy mama Maddy też przyniosła prezent? A może ten prezent dała jakaś dziewczynka, która wyjechała na obóz? Czternaście prezentów, trzynaście dziewczynek. Podarunek od Alice wyglądał bardzo ładnie – matka opakowała go w niebieski błyszczący papier – ale jego kształt zdradzał wszystko. Książka, po prostu książka, a Maddy nie należała do dziewczyn, które ucieszą się z książki. Ona pragnęła nowych podkoszulków odsłaniających brzuch, gumowych bransoletek i lakieru do paznokci, który dawało się zdrapać. Była najmłodsza w klasie, ale wiedziała najwięcej o makijażu. Zawsze przemyślała błyszczyk i zielony tusz, aż wreszcie zakonnice ją przyłapały, kazały iść do łazienki i wszystko z siebie zmyć.

Alice spodziewała się, że matka Maddy też będzie ładna, tak po prostu. Tymczasem okazała się całkiem zwyczajna – na tyle szczupła, aby nosić bikini, lecz sprawiała wrażenie zmęczonej, jakby wycieńczyło ją bycie zgrabną i opaloną. Nawet jej włosy wydawały się zmęczone, przypominały takie, które na reklamach odżywek pokazuje się jako fryzurę „przed”. Dzieci ze Szkoły Świętego Wilhelma z Yorku miały matki dwóch zasadniczych rodzajów: pracujące oraz niepracujące. Jednak mama Maddy była Matką, Która Kiedyś Pracowała. Tak przedstawiła się mamie Alice, kiedy ta któregoś dnia zadzwoniła do niej, żeby zapytać o kilka spraw związanych z Ronnie. Alice wiedziała, o czym rozmawiały, bo



podsluchiwała je z drugiego aparatu. Tak zresztą robiła od czasu do czasu.

– Jestem matką Maddy, kiedyś pracowałam w Piper and Marbury.

Matka Alice wydała z siebie krótkie „ach”, tak jakby to było coś dobrego. Ona zawsze pochwałała Wszystko Co Twórcze. Jednak Alice zdumiała się, że mama Maddy pracuje jako flecistka\*. Myślała, że jest prawniczką. Wyobraziła sobie matkę Maddy w zielonym kapelusiku z piórkiem, wywabiającą dźwiękiem piszczałki dzieci z Hameln, razem ze szczurami. Nie, to szczury wyszły pierwsze, grajak zabrał dzieci dopiero później. A poza tym mama Maddy była pewnie flecistką w orkiestrze, a nie kimś, kto po prostu gra na ulicy albo w cyrku. To chyba fajnie mieć matkę muzyka.

Ale Matka, Która Kiedyś Pracowała, wyglądała, jakby od samego początku przyjęcia bolała ją głowa. Na jej czole widniały cztery zmarszczki niczym dwa identyczne symbole równości, a na grzbiecie nosa coś w rodzaju malutkich nawiasów. Wydawało się, że robią się coraz głębsze i głębsze, więc gdy nadszedł czas rozpakowywania prezentów, jej twarz przypominała trudne zadanie matematyczne, może nawet coś z algebry. W Szkole Świętego Wilhelma nie było rozszerzonego programu, ale siostra Elizabeth zaczęła zadawać Alice dodatkowe prace domowe z matematyki. Alice nie mówiła o tym matce, choć sama nie wiedziała dlaczego. Może przez to, że prawie nie miała tajemnic przed matką, która zawsze dokładnie wiedziała, co ona myśli. Czasem wydawało jej się, że mama mogłaby nie być zadowolona, że córka lubi matematykę – przedmiot niekreatywny i prowadzący do zarabiania

\* Gra słów: wyraz „Piper” w nazwie tej firmy po angielsku oznacza flecistę – przyp. tłum.

pieniędzy, o których Helen Manning zawsze twierdziła, że stanowi prawdziwe źródło wszelkiego zła. Właściwie nie tyle zarabianie pieniędzy, ile martwienie się o nie, liczenie ich. Kiedy Alice po raz pierwszy usłyszała o źródle wszelkiego zła, zapytała, czy bije ono gdzieś w okolicy drogi numer 40. Matka uśmieła się wtedy do łez, a potem uściskała ją i powiedziała:

– Wiesz, nawet całkiem blisko, gwarantuję ci.

Gdy Alice chciała rozweselić matkę, zawsze powtarzała ten dowcip, aż wreszcie Helen rzuciła:

– Daj spokój, Alice. Nie po to jesteś na tej planecie, żeby uszczęśliwiać innych, nawet mnie. Zwłaszcza mnie.

Prezent Ronnie rozpakowano jako przedostatni. Był owinięty w czerwony papier, który miał zagięcia w nieodpowiednich miejscach, więc każdy widział, że został zdjęty z jakiegoś innego prezentu, złożony w prostokąt i użyty ponownie. Na pierwszy rzut oka nie wyglądał jak papier na gwiazdkowe upominki – brakowało świętych mikołajów, choinek, cukierków, miał po prostu czerwony kolor – ale i tak każdy dobrze wiedział, do czego tak naprawdę służy. Dziewczynka obok Wendy wyszeptła coś i Wendy odwróciła się do Alice. Już miała coś powiedzieć, kiedy otwarto prezent i wszyscy zamilkli.

– Czyż to nie ładne – oznajmiła matka Maddy, tak jak dwanaście razy wcześniej i zawsze takim samym tonem.

Prezenterem od Ronnie była Barbie, a żadna piątoklasistka ze Szkoły Świętego Wilhelma z Yorku nie bawiła się Barbie przynajmniej od roku. A jeśli już, to w „operę mydlaną”, gdzie lalka za sprawą Kena zachodziła w ciążę i oboje odbywali serię poważnych rozmów o tym, co teraz mają zrobić i czy to było złe uprawiać tyle seksu, i że już na pewno nigdy więcej tego nie zrobią, jeśli Bóg po prostu zabierze to dziecko. Najważniejszą część tej „opermy mydlanej” stanowił sam początek, kiedy kładło

się Kena na Barbie i udawało te śmieszne odgłosy. Ale to była tajna zabawa tylko dla dwóch osób. Gdy inni patrzyli, za jedyną odpowiednią reakcją na widok Barbie uważano uprzejme znużenie, tak jakby się nie pamiętało, do czego lalka właściwie służy. Jakby nigdy nie oglądało się jej pod Kenem, krzyczącej „och, och, och!”.

Tak więc sama Barbie była czymś wystarczająco niestosownym. A okazało się jeszcze, że ta jest czarnoskóra. Czarne Barbie robiono dla czarnych dziewczynek – i o to chodziło, a nie o jakieś uprzedzenia rasowe, o których dzieci ze Szkoły Świętego Wilhelma z Yorku wiedziały, że są czymś złym. Gdyby jakaś dziewczynka miała, powiedzmy, dziesięć Barbie, jedna z nich mogłaby mieć czarną skórę, bo taką dziewczynkę stać na urozmaicenia. Szczerze mówiąc, Maddy była taką dziewczyną. Ona mogłaby dostać na własność całe miasteczko Barbie, tak bogatych miała rodziców. Ale była już za duża na lalkę Barbie.

Co jeszcze gorsze, lalka okazała się Barbie Bożonarodzeniową, a był środek lipca.

Miała czerwony płaszczyk i obszytą futerkiem czapkę, więc nawet Alice, która czasem wolno pojmowała to, co inne dziewczynki chwyciły w lot, uświadomiła sobie, że ta lalka jest przecenioną zabawką z Toys for Tots. Ojciec Ronnie zawsze przynosił do domu tego rodzaju rzeczy – bombonierki w kształcie serca pod koniec lutego, czekoladowe króliczki w maju, meble ogrodowe w październiku. Alice kiedyś usłyszała, jak jej matka mówi, że ciężarówka z logo Coca-Coli, którą jeździ pan Fuller, wraca do domu pełniejsza, niż wyjeżdża. Nie do końca wiedziała, o co w tym chodzi, lecz doszła do wniosku, że na pewno nie o coś dobrego, a na pewno nie o coś miłego.

– Bardzo ładne – oznajmiła matka Maddy, jakby naprawdę tak sądziła. – Podziękuj za prezent, Maddy.

– Dziękuję, Ronnie. – Maddy należała do dziewczynek, które słowa w rodzaju „ładna sukienka” czy „podoba mi się twoja fryzura” potrafiły wypowiedzieć tonem tak obelżywym, że brzmiało to gorzej niż cokolwiek, co mówiono nawet w filmach tylko dla dorosłych. W szkole często mówiła „tak, siostrzo” w taki sposób, jakby to było wyzwisko. Alice, miewająca problemy z powiedzeniem rzeczy, które akurat należało powiedzieć, bacznie obserwowała Maddy i próbowała dociec, jak można nikomu nie podpaść, a jednocześnie być tak złośliwą. Chodziło o niedopasowanie ust i oczu, żeby usta mówiły ładnie i stosownie, a oczy iskrzyły się hardo, choć bez przesady. Ronnie z kolei robiła na odwrót. Oczy zawsze miała szeroko otwarte i patrzące ze zdumieniem, usta zaś skrzywione i drwiące.

Ronnie wiedziała, że koleżanka z niej kpi.

– To głupia lalka dla czarnuchów – powiedziała, wrywając ją Maddy i ciskając do brodzika. – Moja mama chciała się jej pozbyć.

– Ronnie. – Mama Maddy musiała sobie przypominać imię dziewczynki, przynajmniej tak wydawało się Alice. – Proszę, wyjmij swój prezent z brodzika.

– Nie będę tam wchodzić – odburknęła Ronnie. – Tyle w nim sików, że mogą mi odpaść paznokcie u nóg.

Dwanaście dziewczynek spojrzało pod stół na swoje stopy, bo tego dnia każda z nich choć raz zanurzyła je w wodzie. Paznokcie Alice miały kolor seledynowy, co pasowało do niebieskich bucików z przejrzystego tworzywa. Wendy miała paznokcie polakierowane na różowo. Ronnie nie używała lakieru, odkąd próbowała pomalować sobie paznokcie i przyszła do szkoły z czerwonymi pasmami sięgającymi aż po stawy palców.

– Ronnie, proszę. – Mama Maddy położyła dłoń na przegubie dziewczynki.

Ronnie mocno szarpnęła ręką w bok. Alice wiedziała, że to przypadek, nic poza tym. Że dłoń Ronnie przypadkowo była akurat zaciśnięta w pięść i przypadkowo ta pięść uderzyła matkę Maddy w podbródek.

Ale matka Maddy krzyknęła głośniejszym głosem niż przedszkolak, tak jakby cios miał naprawdę dużą siłę. Dziewczynki też krzyknęły, jak gdyby właśnie zobaczyły samochód roztrzaskujący ogrodzenie brodzika.

– Uderzyłaś moją mamę – stwierdziła Maddy. – O Boziu, ona uderzyła moją mamę.

– Przepraszam – powiedziała Ronnie. – Przepraszam, przepraszam. Naprawdę przepraszam. Nie chciałam.

– Uderzyłaś moją mamę. Uderzyłaś dorosłego – zakipiały głosy innych dziewczynek, pełne szoku, choć też trochę podekscytowane.

Kiedy odezwała się matka Maddy, mówiła cichym, strasznym tonem, którego tak skutecznie używają dorośli:

– Myślę, że powinnam zadzwonić do kogoś, żeby cię zabrał do domu.

– Powiedziałam przecież, że przepraszam. Nie chciałam pani uderzyć. To był wypadek. Pani pierwsza mnie dotknęła.

– Pewnie jesteś już zmęczona upałem i zabawą. Czy jest ktoś, po kogo mogę zadzwonić, żeby cię zabrał?

Trzymała już w ręku telefon komórkowy...

– Przyszłam z Alice – powiedziała Ronnie, łapiąc koleżankę za ramię. – Musimy iść do domu razem.

Alice była tak zaskoczona, że nie zdołała się wymigać. Tak, teoretycznie powinna wracać do domu razem z Ronnie, ale nie kiedy Ronnie źle się zachowała. Dlaczego miałyby wychodzić, skoro to Ronnie była niegrzeczna? Zawahała się i właśnie wtedy Ronnie powiedziała o ciotce i o cukierkach, i o wszystkim innym.

– W porządku – oznajmiła matka Maddy. – Tak czy owak, myślę, że będzie lepiej, jak pójdziecie we dwie. Teraz idziecie do domu twojej ciotki? Po tej stronie Edmondson? Dobrze.

Wcale nie było dobrze ani w porządku, nie było też sprawiedliwie. Alice zwlokła się z ławki i zabrała ręcznik i buty. Współczujące spojrzenie Wendy jeszcze bardziej popsło jej humor. Ronnie weszła do brodzika po lalkę, a kiedy wracała, Barbie dwa razy jej wypadła. Ubranko lalki przyłgnęło do jej twardego ciała, kropelki wilgoci zaperliły się na brązowych nogach. Alice miała ochotę zanurzyć stopy w brodziku.

Wiedziała, że Ronnie powiedziała połowę prawdy. Dzieci sikają do wody, ale siki nie rozpuszczają paznokci. Szczerze mówiąc, jej mama wspomniała kiedyś, że siuski są dobre na naciągnięte ścięgna i na nagniotki.

Tak więc wyszły, zostawiając za sobą dwa ciągi wilgotnych odcisków stóp, jeden bardziej wysforowany do przodu niż drugi. Ślady niby wspólne, lecz zarazem osobne, połączone tylko rażąco niesprawiedliwością zwykłych codziennych przypadków. Schodami w górę, przez olbrzymią czerń parkingu, i potem wzniesieniem prowadzącym do Edmondson, gdzie Ronnie wcisnęła srebrny przycisk na przejściu dla pieszych, chociaż każdy wiedział, że światła same się zmieniają co jakiś czas, a przycisk jest tylko na pokaz.

– Myślałam, że idziemy do domu twojej cioci – odważyła się powiedzieć Alice, a Ronnie spojrzała na nią zdziwiona, nie pamiętając o swoim kłamstwie.

– Moja ciotka latem pracuje w Crab House przy drodze numer 40 – odparła. – Poza tym nie lubi, jak do niej przychodzi. Pokłóciła się o coś z moim tatą.

Przejdźcie przez szeroką i ruchliwą Edmondson Avenue okazało się łatwe, bo zielone światło paliło się cały czas. Alice

wiedziała, że łamią reguły, ale to było radosne, stanowiło obietnicę rzeczy, jakie mogły pojawić się po rozpoczęciu nauki w nowym gimnazjum. Matka obiecała, że pozwoli jej robić makijaż – w każdym razie używać szminki – a włosy zacznie ścinać jej fryzjer w salonie, nie maszynka w kuchni. Chociaż do rozpoczęcia roku szkolnego zostało jeszcze trochę czasu, Alice już myślała o wyprawie do sklepu po szkolne przybory i ubrania. Będzie potrzebowała nowych ubrań, skoro przestanie codziennie nosić mundurek.

Gdy bezpiecznie przeszły przez Edmondson, uznała, że teraz skierują się na zachód do postrzępionej odnogi ulicy Nottingham, gdzie obie mieszkały. Jednak Ronnie chciała pójść trasą, którą nazywała skrót, chociaż bardziej pasowałaby nazwa „wzdłuż”: przejść obok większych domów, które usadowiły się przy rozległych zielonych trawnikach z małymi żółtymi znakami ostrzegającymi psy i dzieci, aby trzymały się z daleka ze względu na chemikalia.

Były już w połowie drogi przez Hillside, największej z ulic z dużymi domami, gdy Ronnie się zatrzymała.

– Spójrz – powiedziała. U szczytu schodów, na ganku, stał samotny dziecięcy wózek. Promienie słońca połyskiwały w jego srebrzystych uchwytach. – W takim słońcu metal musi być gorący.

Wyraźnie czekała na jakąś odpowiedź, więc Alice rzekła:

– I stoi tak blisko krawędzi schodów. Mógłby się stoczyć.

– Po prostu się sturlać.

– Chyba że ma włączone hamulce – zaznaczyła Alice.

– Nawet jeśli ma włączone hamulce – stwierdziła Ronnie – to i tak nie jest dobrze. Nie powinno się tak zostawiać dziecka.

– Jego matka jest pewnie w środku – powiedziała Alice.

Ronnie chwyciła ją za łokieć i szczypiąc, szarpnęła nim do góry. Alice spojrzała na siniak po innym uszczygnięciu i przy-

pomniała sobie szczęk zębów matki Maddy, kiedy pięść Ronnie trafiła ją w brodę. Nie, to nie był dobry dzień na sprzeciwianie się Ronnie.

– Nie powinna go tak zostawiać nawet na chwilę – oznajmiła Ronnie. – Wszystko może się zdarzyć. Ktoś powinien opiekować się dzieckiem.

Podkraśli się do drzwi. Wprawiona w nie szyba, gęsto przetkana metalem, była tak mało przejrzysta, że nie zdołały wiele dojrzeć we wnętrzu chłodnego, ciemnego domu. Niczego też nie słyszały. Żadnych kroków, żadnych głosów.

„Czy kogoś wołałyście?” Później powtarzano to pytanie wiele razy, na wiele różnych sposobów. „Pukałyście? Naciskałyście dzwonek?” Czasem Alice odpowiadała „tak”, czasem zaś „nie”, a cokolwiek mówiła, było prawdą właśnie wtedy, kiedy to mówiła. W jej umyśle istniało tysiące wersji tego dnia. Wołały. Dzwoniły. Pukały. Sprawdzały, czy drzwi są zamknięte, a gdy okazały się otwarte, weszły do środka i zadzwoniły na 911. Matka dziecka tak się ucieszyła, że dała im dwadzieścia dolarów, zadzwoniła do gazet i telewizji, a one stały się bohaterkami.

Przez większość czasu Alice miała pewność co do jednego: zapukały do tych szklanych drzwi z drucianą siatką, tak gęstą i drobną, że nie dawało się zobaczyć wnętrza domu. To była jakby zasłona na zasłonie: kunsztowny wzór z metalu, coś jak w zamku. Kończyło się długimi cienkimi szpicami, dłuższymi od ich głów.

– Jest tam kto? – zawołały. Może niezbyt głośno, ale jednak.

– To dziecko jest samo – orzekła Ronnie. – Powinniśmy się nim zająć.

– Jesteśmy za małe na opiekunki do dzieci – odparła Alice, która już pytała o to mamę na początku lata, gdy szukała sposobu zgromadzenia tylu pieniędzy, by wystarczyło jej na buciki z prze-

rzystego tworzywa. – Żeby być opiekunką, trzeba chodzić do liceum.

Ronnie pokręciła głową.

– Powinnyśmy się zająć tym dzieckiem.

Dziecko spało na boku, tak że jeden jego pucułowaty policzek był płaski, a drugi, pyzaty, przypominał napełniony wodą balon, którego zawartość przesunęła się na bok. Miało na sobie różowy bawełniany pulowerek, różowe skarpetki i różową czapkę z takiego samego materiału.

– To z Baby Gap – powiedziała Alice. Uwielbiała tę firmę.

– Powinnyśmy się zająć tym dzieckiem – powtórzyła Ronnie.

Kiedy później Alice rozmawiała z matką i kobietą o przyszczatej twarzy, taką „wyszukaną”, Alice zrozumiała, o co chodziło Ronnie. Helen i ta kobieta ciągle, raz za razem, pytały ją, co dokładnie Ronnie powiedziała. Powinnyśmy się „zająć” tym dzieckiem? Powinnyśmy się zająć „tym dzieckiem”? Jednak Alice, mimo dobrych chęci, nie potrafiła sobie przypomnieć, na co Ronnie położyła akcent. Pięć słów, których wypowiedzenie trwa nie dłużej niż pięć sekund. Powinnyśmy się zająć tym dzieckiem. Powinnyśmy się zająć tym dzieckiem. Powinnyśmy się zająć tym dzieckiem. Powinnyśmy się zająć tym dzieckiem. Powinnyśmy się zająć tym dzieckiem. Były grzeczne, chciały pomóc. Ludzie lubią dzieci, które są grzeczne i chcą pomóc. To właśnie ciągle tłumaczyła Alice. Że próbowały być grzeczne.

A co Ronnie mówiła swoim dorosłym: rodzicom, przystojnemu panu o lśniących jasnych włosach i ubraniu z tkaniny o śmiesznej nazwie? „Kora” – powiedziała matka Alice, widząc tego blondyna w holu. Ale Alice domyśliła się z jej tonu, że chodziło o coś dobrego, tak dobrego jak klasyczny, stylowy albo nawet wyszukany. Co Ronnie powiedziała panu w korze i w co on wierzył, kiedy już było po wszystkim?

Tej jednej rzeczy Alice nigdy się nie dowiedziała, nigdy nie mogła wiedzieć i wciąż nie wiedziała siedem lat później, kiedy stan Maryland wypuścił ją po odbyciu kary za udział w zabójstwie Olivii Barnes.



Dwie jedenastoletki po drodze do domu widzą wózek z dzieckiem. Postanawiają je uratować – skoro ktoś je zostawił bez opieki, to znaczy, że go nie chce.

Prawda?

Kilka dni później policja znajduje zwłoki niemowlęcia. Oskarżenie pada na dziewczynki. Po szybkim procesie zostają skazane.

Siedem lat później Alice i Ronnie wychodzą z poprawczaka. Mają szansę zacząć życie od nowa. Jednak tajemnica, którą owiana jest dawna zbrodnia, wciąż dręczy ich rodziców, prawników i policjantów. Wszystkich, którzy wtedy nie odważyli się stawić czoła szokującej prawdzie...

A kiedy w niepokojących okolicznościach znika kolejne dziecko, podejrzania natychmiast padają na dawne koleżanki. Zaczyna się walka z czasem, poszukiwania, batalia z mediami, które węszą za tanią sensacją. Sprawę prowadzi młoda pani detektyw, która siedem lat wcześniej znalazła ciało Olivii.

**Tyle że nic w tej sprawie nie jest normalne...**

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



9 788365 282910

cena 37,90 zł

PATRONKI MEDALNY

[www.portal.kryminacja.pl](http://www.portal.kryminacja.pl)  
**PORTAL  
KRYMINACJA**

ZOBACZ  
SŁUŻBY  
KRYMINACJA

**SMARZSIAZKI.PL**

**eBOOK**